NUMER 7. DNIA 16-go LUTEGO 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

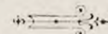
DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA



BOHDAN ZALESKI.



W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN*).



Pół wieku z górą twórczości na niwie poezji i długi szereg dzieł większych i mniejszych, lepszych i mniej udatnych, to przecież obfity plon, który świadczy, iż darów, jakie przyniósł na świat ten ze sobą, Zaleski nie zmarnował, że kształcił się długo i mozolnie. Pół wieku pracy ciągłej a nieustannej — to przecież nie co dzień się zdarza i nie małą stanowi zasługę. Toż godzi się zbadać uczucia tego człowieka, cechy jego poezji, talent i wszystkie części składowe tego talentu, jak niemniej słabe jego strony.

Wydała poetę na świat Ukraina, owa „piastunka wieszczów“, co wiek temu wykołysała wielu jego braci po lutni, którzy sławę jej mieli pieśnić i zanieść daleko — na sam choćby ziemi kraj, kiedy tam mieli znaleźć grób dla kości swoich. A Ukraina ta umiała duszę chłopięcia uwięzić przy sobie na zawsze pięknością przyrody, umiała podbić jego serce i duszę i niemi zawładnąć, oczarować niebios błękitem i stepem dalekim. Wyniósł tedy ze swej młodości, z tej, która jest „rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały“ trwałym ciosem dłuta, nieograniczoną miłość ziemi rodzinnej. Pierwszy też to i najdonośniej tętniący pierwiastek jego poezji, który wziął górę nad innymi. To też wnet, skoro musiał opuścić Ukrainę i wyjechać do Warszawy, zaczyna odzywać się tęsknota za ukochaną stroną w drobnych utworach i odtąd widać wyraźnie coraz to większy napływ tego uczucia. Bo kiedy po burzach listopadowego powstania wyjechał za granicę — z utęsknionej piersi poety wyrywa się długi jęk żalu, wszędzie dzwoni z poezji jego ten ton tęsknoty. „U nas inaczej, inaczej, inaczej“! — powtarzał poeta, — a w słowie tem „inaczej“ widział wszystko lepsze, piękniejsze, wszystko, co więcej przypadało mu do serca. Nawet w upadku natchnień sądził, że powiew stepowego wiatru zdołałby go wyrwać z uśpienia i do nowej pobudzić pieśni, żeby się od niej we mgłach podniosły kurhany.



BOHDAN ZALESKI

według portretu z natury, rysowanego przez J. Korowskiego w r. 1840

Z tej miłości ziemi rodzinnej poszło u Zaleskiego drugie uczucie — miłość pieśni ludowej, silna i trwała. Nie dziw, że to uczucie głęboko zakorzeniło się w jego sercu — od lat pierwszych bowiem potrafiła pieśń za serce go pochwycić czarowną swą melodją, przeciągłą a tęskną. Jeszcze od lat pobytu w kurnej chacie znachora, małe pacholę słuchało pilnie pieśni, śpiewanych przy kołowrotku, a pieśń ta żalem głębokim napeł-

*) Urodził się w Bohatyrce na Ukrainie 14. lutego 1802.

niona i płaczem tęskniąca, zdołała niezapomniane w młodem sercu zostawić wrażenie. Niemałą też miała odegrać rolę później w twórczości Zaleskiego, miała nadać jej kierunek taki, jaki był wówczas właściwy i konieczny, ażeby poezja mogła z siebie zrzucić pęta, krępujące ją regułą teoretyków krytyki pseudoklasycznej. Kiedy więc za granicą wzmógł się prąd ludowy, Zaleski nawet w pierwszych próbach poetyckich dał folgę temu uczuciu. Miłość ludowej poezji zdziałała, że poeta nie poszedł torem konwencjonalnej sielankowości, lecz zdołał wyrębywać nowe drogi i nowych szukał pomysłów. Później, co prawda, coraz rzadsze są parafrazy dumek, poeta jednakże tworzy cały szereg wierszy, których myśl, duch i ton przypominają ludowe utwory. Pieśń ta ukraińska wreszcie wykształciła u poety poczucie pieśniowego rytmu, doprowadzone do tak subtelnej doskonałości, do jakiej u nas nikt nie doszedł oprócz Słowackiego.

A do tych dwu pierwiastków przyłącza się trzeci — religijność głęboka i trwała, podobnie, jak tamte, w dziecięcych latach nabyta. To też kiedy poeta znalazł się na emigracji, usunął się od walk partji i obozów, wraz z przystąpieniem do Związku Braci Zjednoczonych usuwa się od zgiełku światowego, ażeby w zacisznej ustroni wieść żywot pobożny. Nic też innego nie ocaliło go od Towiańszczyzny, wiara bowiem jego naiwna, „chłopska“, że tak powiemy, która budowała na czysto zewnętrznych, formalnych oznakach, nie pozwalała na żadne rozumowania. Dopiero po roku 1831 odezwało się to uczucie w jego poezji donośnym dźwiękiem, kiedy ujrzał, jakie niebezpieczeństwo grozi emigracji z powodu nieustannych marzeń o przyszłości, którą sobie wszyscy źle tłómaczyli. Całą sztukę swoją skupił Zaleski w „Duchu od stepu“, żeby ogół przekonać, iż nie należy mu wyczekiwać, opuściwszy ręce, łaski od Boga, na którą sobie niczem nie zasłużył. Duchowe odrodzenie — oto zadanie, nad którego wykonaniem wszyscy zgodnie pracować byli powinni. Odtąd błagał o łaskę poświęcającą, o odpuszczenie win nieprzyjaciołom, o światło dla ciemnych, by się ocknęli w nieprawościach swoich. A potem, kiedy mu przyszły na myśl dziecięce lata Chrystusa, z nich bierze pomysł, ażeby opieśnić „Przenajświętszą Rodzinę“. W ostatnich nawet latach twórczości występuje to uczucie w tonie bardzo podniosłym i silnym.

A wszystkie te uczucia były tak szczere i naturalne, jak to dziś trudnoby znaleźć, miał ich nawet Zaleski więcej, niż na poetę, nawet wielkiego, potrzeba. Czemuż więc mimo, że poetę kochamy i czujemy dobrze jego wyższość ponad wielu mniejszego talentu pisarzy, czemu poezja jego nie jest w stanie przemówić nam dziś do duszy tym głosem, któryby lgnął do serc naszych? Każdy to zapewne zauważył, że jest w tem uczuciu mimo, iż ono gorąco się objawia, jakaś jednostajność nużąca umysł. Zaleski n. p. w uczuciu miłości do ziemi rodzinnej jest wiecznie równy i płaczliwy, skarga jego ciągle jednym i tym samym brzmi tonem. Powszednieje tedy ten ton dla słuchacza, a wskutek tego nie może dla siebie obudzić sympatji takiej, jakąby zyskał z pewnością, gdyby się zmieniał czasami. Prócz tej nadto jednostajności, nużącej wielce, do obniżenia uczuć przyczynia się dobroć poety, który nie mógł otworzyć oczu na ciemną stronę faktów. Nie jest zdolny wyrzec ostrzejszego słowa, chociaż ono było konieczne i nieodzowne, nie może chłostać, choć chłosta taka byłaby zasłużona i sprawiedliwa. Poeta nasz ciągle miękką i czułą ma fizjognomię, wtedy nawet, gdy Ujejski wstaje ze swoją rozpłakaną lecz piorunną gęślą, w chwili, która wymagała silniejszego dźwięku i słowa, Zaleski płacze, iż nie może zdobyć się na taki ton. Raz tylko przemówił groźnem słowem do Rygiera i Palacky'ego, ale też raz ten tylko jedyny. Wskutek tego też, że uczucie poety było zbyt jednostajne i miękkie, — musiało ono wnet stracić moc swoją i nie może znaleźć w sercach naszych oddźwięku.

A w jakim też stopniu posiadał Zaleski drugi składnik talentu poetyckiego — rozum? Że rozum miał, na to nie trudno w życiu jego znaleźć całego mnóstwa dowodów. A czy go miał i w poezji swojej? I tutaj miał go poeta z pewnością tyle, iżby mu był wystarczył na długo, kiedy cała poezja jego tętni miłością ziemi rodzinnej. A cecha ta nie byłaby nigdy spowszedniała, wszak powtarza się u poetów nawet wielkich. Dlaczego więc ten ton brzmi u Zaleskiego nie z tą mocą, jak u innych? Powodem tego był brak obserwacji, ażeby daną myśl z odmiennej uchwycić strony, ażeby ją pogłębić i nowy wyprowadzić wniosek. Tymczasem Zaleski robi z tej jednej myśli nieskończone mnóstwo warjantów na jeden ton granych, nie stara się o świeże spostrzeżenia, któreby były zdolne ożywić ją i inne tchnąć w nią

życie. Co prawda — raz tylko, kiedy pisał „Ducha od stepu“ zdobył się na myśl świeżą, iż upadki narodów, nawet wielkich, są karą za grzechy ojców, nie zaś za grzechy całego świata, ale też raz tylko! Potem myśl ta, pogląd ten, powtarza się nieustannie w takiej samej formie; kształtów nowych, w któreby mógł ją przelać, nie znalazł dla niej poeta. A czyż jest możebne, ażeby taż sama myśl, która nie wykracza ponad poziom, jaki jej Zaleski wymierzył odrazu, — mogła sama przemówić do uczucia, ażeby mogła zająć je i poruszyć.

W te same błędy popadła też wyobraźnia. Sądzę, iż każdy na to się zgodzi, że poeta miał fantazję zasobną w świeże pomysły. Brak atoli było tej wyobraźni plastyczności w przedstawianiu scen, osób i wypadków, bo Zaleski, jeśli kreśli krajobraz, to oddaje go z pod swego pióra jakimś ciemnym, zamglonym, brak mu realnej podstawy, trwałego poparcia, że zdaje się bujać w powietrzu daleko od ziemi, lub jeśli kreśli postać jakiejś osoby, to brak tej postaci wszystkich jej cech charakterystycznych, które ją odróżniają od innej.

Nie brak też było Zaleskiemu artystycznego zmysłu w budowaniu strofki, która niejako sama stawała się muzykalną. Zupełnie inaczej miała się rzecz z przedmiotami jego poezji. Tutaj okazał poeta zupełne zaniedbanie artystycznego zmysłu i smaku. Bo czyż mógłby kto twierdzić, że Zaleski wyraził rzeczy najprostsze w świecie w sposób świeży, słowami odpowiadającemi odczuciu poetyckiemu i nastrojowi danej chwili? Na to — wątpię — by się mógł kto pisać. Obrabiał bowiem Zaleski przeważnie tematy ukraińskie, wskutek czego też nabrał ukraińskiego zacięcia, które stało się niejako drugą jego połową. Stąd też, kiedy później pisał utwór innej treści, to rzecz ta nabierała ukraińskiego kolorytu i barwy, a ta znowu nie była wcale właściwa i stawała się z dniem każdym coraz więcej jednostajną. Grał więc ciągle z jednego i tego samego tonu, nie dbając wcale o świeżą barwę dla swojej poezji, która musiała coraz bardziej szwankować. Zaleski, doszedłszy do mistrzowstwa w formie, nie troszczył się o nic więcej i ta właśnie doskonałość strony formalnej zabiła go. Brak tedy, a raczej zaniedbanie plastyczności i artystycznego smaku nie dozwoliło wyobraźni rozwijać się w tym kierunku, jaki był właściwy.

Nie był tedy pozbawiony nasz poeta talentu i to talentu niemałej miary, który był mocen postawić go w rzędzie poetów nawet wielkich. Że jednak talentu tego nie potrafił użyć w ten sposób, ażeby stworzył dzieła prawdziwie doskonałe, że nie potrafił ustrzedz się błędów, nie zdołał pozbyć się miękkości i dobroci, która w poezji jest najszkodliwszym przymiotem, nie zdołał czerpać świeżych pomysłów, któreby mogły zająć naszą uwagę, olśnić ją i przyciągnąć do siebie, że nie pozbył się jednostajności i miękkości tonów swojej gęśli, — skutkiem tego pozostał w rzędzie poetów — nie genjalnych.

Ale ma ten poeta znaczenie swoje w dziejach rozwoju polskiej poezji i to niemałe. Zważyć bowiem należy najprzód tę okoliczność, że począł wprowadzać do poezji kunsztowne melodje z ust ludu wzięte, a zarazem wskazał innym drogę, po której iść należało. Pozatem nie naśladował Zaleski nikogo, starając się usilnie o oryginalność, o wypiętnowanie na swoich utworach cech indywidualnych, któreby go odróżniały od innych poetów. Zadaniu temu sprostał zupełnie, gdyż — przyznać trzeba — że nuta ukraińska, jaka tętni w jego poezji, jest zupełnie oryginalną, że odróżnia go od całego legjonu poetów t. zw. „szkoły ukraińskiej“, której jest mistrzem, najwybitniejszym przedstawicielem, że nadto idealizm uczuć jego czysty, jakiś obłoczny, jest całkiem odrębny i typowy. Za zasługę należy poczytać to także, co już mu przyznał Mickiewicz w prelekcjach paryskich, że wykształcił rytm, rym i całą formę wiersza niesłychanie zręcznie, że nadał strofkom swojej poezji niezwyczajną melodyjność. A przecież to stanowi niemałą zasługę i niemałe znaczenie w rozwoju poezji naszej. Jeśli do tego wszystkiego dodamy wreszcie, że Zaleski był i jest dotąd najlepszym lirykiem doby romantyzmu polskiego, zobaczymy, że przechował się on w swojej poezji, jako osobny typ, jako typ ukraińskiego siwobrodego gęślarza, co z dalekiej obcej ziemi jęczał pieśnią tęsknoty pełną, za ukochaną stroną, od której wiatry niosły ku niemu jakiś nieukojony żal.

St. Zdziarski.



Prace historyczne Szymona Askenazego.

Nasza literatura historyczna miała i ma dominujący wpływ na naszą myśl polityczną. Dla zrozumienia prądów i kierunków w Królestwie kongresowem nieskończenie ważniejszem jest poznanie historycznych wykładów Lelewela, niż ekonomicznych Skarbka. Jednym z ważnych czynników opanowania przez stańczykierję naszej myśli politycznej, są prace historyków szkoły stańczykowskiej ks. Kalinki, Szujskiego, Bobrzyńskiego i t. p. kult władzy, dochodzący do rehabilitacji Stanisława Augusta i Sasów, propaganda bierności, pokory, zmniejszanie naszej nienawiści do najazdu, przez wywołanie przekonania wśród naszego społeczeństwa, że przyczyn upadku politycznego szukać należy wyłącznie w nas samych, że wszelkie dążności do wydźwignięcia się z upadku, to właśnie przyczyny nowych naszych klęsk. Pierwiastki tych stańczykowskich poglądów możemy znaleźć w politycznem myśleniu całej niemal inteligencji Galicji, bez względu na etykietki polityczne, pod jakiemi ona występuje.

Innego, ożywczego ducha wniósł do naszej myśli politycznej Tadeusz Korzon swemi „Dziejami wewnętrznemi Polski za czasów Stanisława Augusta“. Nie jest to czczą deklamacją, na jaką tylko mogli zdobyć się przeciwnicy stańczykierji galicyjskiej w swych pracach, w obronie pokrzywdzonego narodu. Korzon jest bardziej człowiekiem cyfry, wagi i miary, niż historycy szkoły krakowskiej; oni wobec niego to tylko deklamatorzy. Korzon jest bezwarunkowo najbardziej zasłużonym ekonomistą naszym, nietylko historykiem, gdyż on dał obraz naszego życia ekonomicznego z końca XVIII. stulecia, wysnuty z obfitego materjału statystycznego.

Faktami i datami udowodnił Korzon, żeśmy się odradzali w dobie rozbiorów, że mielibyśmy warunki, by się rozwijać pomyślnie, nie dając się uprzedzić innym narodom, gdyby nie najazd. Nie posiadając katedry, argusowemi oczami szpiegów carskich oddzielony od młodzieży, pochłonięty przez naukę i troskę o środki do bytu (Korzon przez długie lata był urzędnikiem kolejowym), Korzon nie stworzył szkoły. Wpływ jego jednak na myśl polską jest niezaprzeczalny. Jeżeli ekonomiści polscy wzniosą kiedyś gmach rozwoju naszych stosunków ekonomicznych w dobie porozbiorowej, posiadający dla nas tak olbrzymie znaczenie, to oprą się na fundamentach, położonych przez Korzona. Prace o rozwoju przemysłu polskiego Kosutskiego i Radziszewskiego, pisane są pod widocznym wpływem Korzona. Nie będę wspominał o pół tuzinie rozpraw doktoryzacyjnych, z zakresu ekonomicznych stosunków dawnej Polski, aprobowanych przez niemieckie uniwersytety, prac, które są tylko zepsutymi rozdziałami ,,Wewnętrznych dziejów“ przełożonymi na język niemiecki, z dodatkiem pewnej ilości zdawkowych twierdzeń ekonomicznych.

Wobec wpływu, jakie mają na naszą myśl polityczną prace historyczne, musimy zwrócić uwagę na prace historyka, który w ciągu lat kilku, zdobył pierwszorzędne stanowisko u ogółu świetnemi pracami z zakresu dziejów naszych ostatnich dwóch stuleci, ściąga młodzież tłumnie do swego audytorjum na swe nadobowiązkowe wykłady, który już dziś posiada znaczny zastęp uczniów, pod kierunkiem i na wzór jego opracowujących monografje z naszych dziejów najnowszych. Historykiem tym jest docent uniwersytetu lwowskiego, Szymon Askenazy.

W 1894 r. wyszły studja historyczno-krytyczne prof. Sz. Askenazego. Był to zbiór monografji, drukowanych już w miesięcznikach polskich. Mably, Polityka encyklopedystów, Z korespondencji pruskiej, Paryż przed stu laty, Talleyranda początki, Carlyle, Ranke, Taine — oto tytuły tych prac, będących jakby przedwstępnemi studjami autora. Świadczą one, że autor badał pisarzy wieku XVIII. wmyślał się w prace klasycznych historyków wieku XIX. dla wyrobienia sobie metody badania.

Nie znajdujemy tutaj studjum o Macauly'u, chociaż we wielu miejscach książki prof. Askenazego spotykamy entuzjastyczne sądy o tym historyku: „Znakomity pisarz angielski zarazem imponujący i sympatyczny, przedstawia doskonałą równowagę przenikliwości badacza i intuicji artysty, cudowne połączenie wyobraźni twórczej i trzeźwości naukowej, skupiona systematycznie potęga“,

oto słowa uznania, jakie ma prof. Sz. Askenazy dla angielskiego historyka. Zaznaczamy to, gdyż prof. Askenazy artystyczną formą swych charakterystyk historycznych postaci przypomina Macoulaya.

W charakterystykach jego przewijają się barwy i zarysowują się kontury, jakby z naszych największych romantyków czerpane. Weźmy np. charakterystykę Potemkina z monografji prof. Askenazego sprawa wschodnia:

Uznany faworyt od 1774 r. od daty korinadyjskiej, gardził krótkiem powodzeniem powszednich ulubieńców, żywił wielką ambicję na sposób Orłowów, ale dużo szerszą i wytrwalszą. Ogromna, ociężała postać, jakby wyciosana toporem, dusza pełna sprzeczności, jak mroźna i skrawna pogoda jego ziemi, nieokrzesany i ciemny a pełen niespodzianych do wszystkiego zręczności i instynktowego domysłu, trzeźwy fanatyk, zabobonny cynik, przecywilizowany barbarzyńca, naprzemiany rozmyślający o diademie królewskim lub o mniszej celi, czasem prawie obłędny i znów dziwnie wyrachowany i bystry, nienasycony w życiu, jeszcze więcej nienasycony w wyobraźni, ten jednooki cyklop był jak by wcieleniem podnoszącej się nowej potęgi żywiołowej w dziejach. (Dwa stulecia 273 str.)

Nie możemy nazwać prof. Askenazego polskim Macaulayem, ani Tainem, ani Sorelem, ani jakimś innym znanym europejskim historykiem; on jest sobą, do żadnej szkoły nienależnym, nie odbijającym promienia żadnego mistrza, on sam stworzy szkołę, ma już uczniów, dla których jest wzorem, których pobudza do pracy.

Uwzględnianie przedewszystkiem polityki zewnętrznej, wyprowadzenie jej z racji stanu, t. j. z warunków rozwoju bytu poszczególnych państw i narodów, zaznaczenie pewnej stałości w tej polityce, polegającej na wzmacnianiu się politycznych kombinacyj — oto charakterystyczna cecha prac prof. Sz. Askenazego. Polityka zewnętrzna, deskryptywana w oczach wielu, przez polityków kawiarnianych, przez płytkie, goniące przedewszystkiem za nowością dziennikarstwo — poniżona, może i powinna być umiejętnie badana. W projektach terytorjalnych nabytków i rekompensat, czynionych wzajemnie przez dyplomatów różnych państw, w nieosiągniętych nabytkach mocarstw, dla których podejmowane były wojny, w historji terytorjalnych zdobyczy, odstąpień — znaleźć możemy obszerny materjał dla traktowania umiejętnego polityki zewnętrznej, dla przeobrażenia jej w naukę, dającą nam możność przewidywania i pod pewnym względem kształtowania przyszłości. Trzeba tylko, aby ten materjał był umiejętnie zbadany i zestawiony przez historyka.

Samo położenie geograficzne uwarunkowuje w znacznej mierze politykę zewnętrzną. Np. Francja i Polska, oddzielone szmatem szerokim środkowej Europy, posiadając wspólnego antagonistę w cesarstwie niemieckiem, były przez długie wieki naturalnymi sprzymierzeńcami, jak dziś Francja i Rosja. Wspólne niebezpieczeństwo, grożące Turcji, Polsce i Szwecji ze strony Rosji, już od początku XVIII. stulecia czyniły te trzy państwa naturalnymi sprzymierzeńcami, chociaż brak tradycji w polityce zewnętrznej u nas, rozbicie polityki rzeczypospolitej na politykę poszczególnych familij: Potockich, Czartoryskich i innych, uniemożliwiały prowadzenie polityki wypływającej z polskiej racji stanu.

Przesądy i ideały, forma rządu i obyczaje, w końcu interesy ekonomiczne, są też czynnikami polityki zewnętrznej, czynnikami jej zmian i przeobrażeń, których chyżość zależy od tempa rozwojowego tych czynników. Czynniki te uwzględnia Askenazy, chociaż może niedoceniając wagi czynnika ekonomicznego, nie zawsze mu poświęca należytą uwagę.

Prof. Askenazy posiada teorję polityki zewnętrznej, a chociaż jej nie formułuje, jest ona siłą twórczą w jego badaniach historycznych.

Ponieważ polityka zewnętrzna zależna jest od pierwiastków zmiennych, im więc dalszy okres weźmiemy, tem mniej zmiennie musi się ona przedstawić, a im bliższy okres weźmiemy tem większe praktyczne znaczenie może ona mieć dla nas, gdyż my, pomimo utraty bytu państwowego nie przestaliśmy być czynnikiem politycznym w Europie. Przedmiotem swego badania bierze Askenazy dwa ostatnie stulecia. Ponieważ polityka zewnętrzna zależna jest w znacznej mierze od armji i finansów, prof. Askenazy w badaniach dziejów najnowszych obszernie uzwględnia te czynniki.

Cały świat cywilizowany jest jakby jednym wielkim organizmem, złożonym z szeregu organizmów na się oddziałujących. Rozumie to wybornie prof. Askenazy, dlatego to historję Polski traktuje na tle powszechnej kwestji Europejskiej. Sprawy Turcji, Szwecji, Prus, Austrji, Rosji, Fran-

cji i Anglji oddziaływały i oddziaływują na sprawę Polską, na społeczeństwo polskie.

To uwzględnianie czynników polityki zewnętrznej nawet dalekich nam krajów, oraz porównawczo-historyczne traktowanie naszych wad i obyczajów, chroni Askenazego od błędu historyków szkoły stańczykowskiej.

W monografji o „przedostatniem bezkrólewiu“, Askenazy podaje obraz stosunków międzynarodowej ówczesnej Europy; zarysowuje antagonizm dwóch ówczesnych naczelnych potęg europejskiego świata, cesarza rzymskiego a króla arcychrześcjańskiego, Habsburga a Bourbona, Austrji a Francji, ówczesnej osi powszechnej sytuacji politycznej, zwraca uwagę na to, że Francja po dawnemu w myśl naturalnych, odwiecznych tradycji swojej polityki usiłowała oprzeć się na owym skombinowanym układzie, który potylekroć był dla niej potężną bronią zaczepną i odporną, owym potrójnym układzie związkowym z Turcją, Szwecją i Polską. Następnie podaje nam obraz stosunków tych trzech mocarstw.

Przechodząc do Polski, autor kreśli szereg charakterystyk: Czartoryskich, Potockich, Lubomirskich i innych magnatów. Nie możemy ich dla braku miejsca cytować, każda z tych osobistości mierzona miarą współczesnej nam moralności politycznej musi wzbudzić niechęć, jeśli nie wstręt. Ale prof. Askenazy powołuje tu jedyne słuszne w tych rzeczach kryterjum dziejowo-porównawcze. Jest on przeciwnikiem zarówno apoteozowania dziejów, jak tzw. trzeźwego pojmowania, który „wysadza się na ascetyczną gorliwość pokuty, skruchy, biczowania się i umartwienia, mającą jakoby odkupić pokaranie dziejowe, zesłane za własne, wyznawane i odwoływane grzechy“. Tę ostatnią metodę, której typowym przedstawicielem był Kalinka, Askenazy uważa za szkodliwą i błędną:

Szkodliwa, bo obezwładnia, bo poniża samowiedzę narodową, bo obchodzi tu sprawy, ogląda i osądza w odosobnieniu od powszechnego tła dzisiejszego, tak, że można by mniemać, iż Polska Saska istniała *in vacuo*, gdzieś w pustej przestrzeni albo istniała pośrodku jakiegoś wymarzonego świata sielanki i cnoty. W rzeczywistości, Polska Augustowska istniała pośrodku Europy z pierwszej połowy XVIII. stulecia, znajdującej się w stanie niesłychanego politycznego i obyczajowego rozkładu. Trzeba znać te czasy, znać tegoczesną Europę, znać tegoczesne pomniki piśmiennicze, a zwłaszcza dyplomatyczne, najpierwszych, najkulturniejszych narodów, aby pojąć, do jakich granic może dotrzeć znieprawienie i wyuzdanie ducha publicznego. Trzeba czytać tegoczesną poufną korespondencję dyplomatyczną, gdzie nietylko treść wszędzie odrażająca, ale i forma z rozmysłu skalana, brutalna, cyniczna.

Askenazy pokazuje nam Berlin, gdzie sprzedajni są wszyscy, zaczynając od księcia następcy tronu i księżniczek krwi. Pokazuje nam Petersburg, gdzie obławiają się wszyscy, od Birona, aż do początkującego, jeszcze niepokaźnego Kayserlinga, przyczem większość ich b i e r z e tutaj z zasady z kilku stron naraz, zwłaszcza ze strony austrjackiej i pruskiej. Nawet dwór najpoważniejszy wiedeński, nie jest wolny od tej plagi. Kanclerz cesarza, imponujący hr. Sinzendorff, był na żołdzie saskim i hiszpańskim.

Ta sama metoda historyczna, porównawcza, która nie pozwala winić ludzi XVII. stulecia w Polsce, że nie stali ponad poziomem etycznym swego wieku, zmusza prof. Askenazego potępić królów Saskich, zwłaszcza Augusta II.:

Widoczna jest różnica kapitalna pomiędzy Sasem, królem polskim, dążącym do monarchji w Rzptlej, a jego pierwowzorami na obczyźnie. Tamci, jego pierwowzory, chcieli potęgi swego rządu dla potęgi swego państwa. On chciał potęgi rządu, kosztem potęgi, kosztem zdrowia, a nawet kosztem życia państwa. To różnica ogromna. Kardynał Richelieu, kiedy niweczył Frondę, Ludwik XV., kiedy deptał departamenty, Wielki elektor, kiedy łamał przywileje stanów pruskich, nawet Piotr W., kiedy kruszył przewagę bojarów, każdy z nich działał bezprzecznie w interesie wyższej idei państwowej, z którą siebie utożsamiał zupełnie, każdy z nich czuł się Francuzem, Prusakiem, Rosjaninem, bez względu na środki wewnętrzne, czy to ścinał Thanou, jak kardynał, czy Kalksteina, jak elektor, czy Łopuchina i Wiazemskich, jak car, każdy z nich działał przedewszystkiem w interesie jednego, udzielnego, niepodzielnego pojęcia państwa samego. Inaczej Sasi w Polsce, inaczej w szczególności August II. Ten król nigdy nie czuł się naprawdę Polakiem, nigdy królem polskim. Nikogo on nie ściął, nie zdobył się nigdy na ryzyko niebezpiecznej zapewne dla monarchy, ale jedynie dopuszczalnej akcji wewnętrznej, lecz natomiast wszystkie swoje namysły wewnętrznego przewrotu oparł na akcji zewnętrznej, najniebezpieczniejszej dla państwa, na akcji, dla której niczem nie była i udzielność i nietykalność i sama istność Rzptlej, na akcji będącej od początku do końca nie zamachem stanu, ale zbrodnią stanu i na akcji rozbiorowej. Ten król, który zaczął panowanie od drobnych a bezprawnych targów własnością publiczną, od zastawu Branderburczykom Elblągu i Mohylowa carowi i potem monarchiczną odmianą rządu, nowym formom

regimentów, budował na Patkulowym projekcie potrójnego podziału rosyjsko-prusko-saskiego — ten król, który podejmował z taką wytrwałością spisek podziałowy przeciw własnemu państwu i narodowi w 1703, 1704, 1710, 1718, 1721, 1725 r. i jeszcze przed samą śmiercią, to nie był reformator, to był grabarz Rzptej.

Lepsze, umiejętniejsze zbadanie polityki międzynarodowej stawia dzieło prof. A. przymierze polsko-pruskie znacznie wyżej od omawiającego taki sam temat dzieła Kalinki: „Sejm czteroletni“.

Przymierza polsko-pruskie wymagają obszernego rozbioru, czego nie możemy dziś uczynić dla braku miejsca. Zasługą tej książki jest wykazanie, że nie polityka rosyjska wypływała z potrzeb Rzeczpospolitej po ostatnim rozbiorze. Lepsze uwzględnienie antagonizmu austro-pruskiego oraz polityki angielskiej przez prof. A., niż przez Kalinkę, chroni go od błędów ostatniego.

Wł. Studnicki.

Nie może dusza moja zbudzić się z uśpienia.
Tak ciężko przez sen wzdycha, jak dziewczyna chora,
Kiedy jej tłoczy wątłą pierś dławiąca zmora...
Nie może dusza moja zbudzić się z uśpienia.
W krąg jej cichego łoża ktoś tajemnie kroczy
I trucizn czad rozwiewa z kadzielnic milczenia
I schyla się nad śpiącą, słucha jej oddechu
A gdy się niespokojna poruszy, w pośpiechu
Silniej powieki ciężkie ciśnie jej na oczy.

Tak długo w smutku czekam już na jej ocknięcie,
By mi odkryła swoją głąb i tajemnicę,
Bym ujrzał to, co widzieć spragnione źrenice.
Tak długo w smutku czekam już na jej ocknięcie,
By z dni, co płyną, plon mi zebrała. Z zamroczy
Zbudzić jej żadne moje nie może zaklęcie,
Bo ją uśpiła jakaś moc, zło bez nazwiska,
Co budzącej się oczy znów do snu zaciska...
Duszę mą jakieś oczy urzekły, złe oczy...

Leopold Staff.

Z „ATEN POLSKICH“.

(WITRAŻE WYSPIAŃSKIEGO i NOWE WITRAŻE KATEDRALNE).

Kraków, ta skarbnica narodowych pamiątek tak droga każdemu sercu polskiemu, podwójnie drogą się staje temu, kto do niej wraca po całych latach niebytności. Gorączkowo a radośnie biegnie się witać dawnych znajomych, nieufnie przygląda się nowym, niespokojnie bada się,

o ile rzeczy dawne nietkniętemi pozostały, o ile nowe, dorobek nasz dzisiejszy stanowiące, tamtym godnie odpowiadają...

Muzeum Narodowe. Nieurządzone jeszcze w połowie (zajmuje ją obecnie „Polska sztuka stosowana“) ale znać w niem już rękę umiejętną, pełną pietyzmu i troskliwej miłości, która jak może walczy — z materjalnym niedostatkiem. W pierwszej zaraz sali, w której „Pochodnie Nerona“ zbladłemi barwami żalą się swej minionej sławie, uderza wielki karton witrażowy Wyspiańskiego, nagrodzony roku zeszłego przez Akademję Umiejętności Kazimierz Wielki. Wrażenie ogromne. Entuzjastyczne krytyki nie przesadziły wcale. Jestto wielkie, potężne, budzi cześć i grozę. Tylko wielki poeta mógł się zdobyć na pomysł takiego wskrzeszenia królewskich zwłok tego, który w dziejach naszych był „niepowtórzonem więcej wcieleniem całego rolnego, rządnego, sercem w ziemię wrosłego ludu“. I oto w koronie, z berłem w ręce, opasany pasem utworzonym niby z tych miast, któremi niegdyś ziemię tę umocnił, w łachmanach swego trumiennego płaszcza z głębi trupich oczodołów, straszny „Vid-truchło“ a jednak żywy wciąż jeszcze w sercach król i ojciec dobrotliwy, spogląda ku nam groźnie, boleśnie, jakby z trwogą, by jego ludowi tu „ducha nie rozkradli“, jakby z niemą, pozagrobową przestrogą... Tylko wielki artysta mógł podobnie wspaniały pomysł tak wspaniale ucieleśnić. Wykonanie jest dekoratywne i monumentualne zarazem. I mimowoli myśli się o Matejce nie dlatego, że ma się w pamięci czaszkę króla z natury niegdyś przez mistrza odrysowaną i ten drugi rysunek przedstawiający wnętrze grobowca, do którego po raz pierwszy od 500 lat wówczas oko ludzkie wtargnęło, tą twarz, która przy blasku pochodni ze zdumieniem na bezładnie porzucone kości królewskie spogląda — ale dla tego, że owiewa nas z tej kreacji wiele z tego dziś tak często zapoznawanego tytanicznego ducha, dla którego godzina prawdziwej, nietendencyjnej sławy w przyszłości dopiero kiedyś uderzy... Chciałoby się koniecznie widzieć ten witraż, tę postać żywą na Wawelu obok tamtej drugiej snem marmurowym spokojnie na swym sarkofagu drzemiącej. Jak tragicznie prześwietlałyby wtedy promienie słoneczne te zielonawe bladości trupie, resztki purpury, złoto i klejnoty! Zaprawdę byłby to pomnik wieczno-trwały, godny tamtych przez przeszłość w spuściźnie pozostawionych nam, którzy teraźniejszości mamy tak mało, wspaniały dokument ducha i twórczości dzisiejszego pokolenia!

Dwa drugie mniejsze, jako boczne do tamtego pomyślane witraże, do których kartony wiszą w nowym gmachu T. P. S. P. (och ta szkatułka ze swoją wiedeńską barokową secesją i wejściem „*en face* z boku“!) a przedstawiające podobnie stylizowane szczątki św. Stanisława i Henryka Pobożnego — mniejsze już znacznie wywołują wrażenie. Pomysł choćby najwspanialszy na powtórzeniu trzykrotnem stracić musi. Zadużo tu grozy, zawiele już tych płaszczyzn ogromnych pokrytych piszczelami, pruchnem strzępami materji.

Każdy z tych witraży z osobna i św. Stanisław z pastorałem w martwej, jakby do błogosławieństwa podniesionej dłoni i Henryk Pobożny w okuciach żelaznych swej zmurszałej trumny — działają silnie, razem jednak zestawione robiłyby za silne, wprost przykre wrażenie. Można je sobie chyba wyobrazić samotnie w jakimś ogromnym, pustym, ciemnym tumie gotyckim w odpowiedniej od siebie odległości porozmieszczane, gdzie cała uwaga na nie wyłącznie by się skupiała...

Czas nagli. Śpieszę do kościoła Franciszkanów. Widzę najpierw zdążając przez nawę ku presbyterjum, już zdaleka, że znana mi poprzednio polichromia zachwycająca bogactwem swych oryginalnie stylizowanych kwiatów, która sama już wielkie imię Wyspiańskiemu w potomności zachować by zdołała, przybladła nieco, stonowała się. Po bokach głównego ołtarza dwa witraże: św. Franciszek i św. Salomea, dalej mniejsze czysto dekoracyjne. Słońce na chwilę właśnie przedziera się przez chmurny strop styczniowego nieba — i jestto poprostu porywająca swym mistycznym czarem, potężna symfonja barw i linji. Zapewne znać w tych kompozycjach znajomość wielką Japończyków i Anglików współczesnych, jest to jednak na wskróś oryginalne, indywidualne, zupełnie średniowieczne przy całym swoim „modernizmie“. Tu olbrzymie kwiaty, nasze polne przeważnie, czarujące subtelnym dźwiękiem wnoszą ze sobą jakby woń pól swojskich; tam znowu płomień jakiś, niby żar nadziemskiej modlitwy, wybucha gamą całą barw i połysków. Ciągną się długie i śmiałe a dziwnie szlachetne linje, wiją się, wikłają fantastycznie, grają tony harmo-

nijnie pozestawiane, stapiają się ze sobą, pieszczą oko i duszę koją. Zlewa się to wszystko wybornie z polichromją presbyterjum, tworzy całość organiczną pomimo swej różnorodności. Niby hymn jakiś średniowieczny działa to na tle wyolbrzymiałego krzaka cierniowego umieszczona ascetyczna, wychudła postać św. Franciszka, wpatrzona w jawiącą się jej ekstatyczną wizję Ukrzyżowanego, który z głębi kielicha jakiegoś mistycznego kwiatu miłośnie ku niej się wychyla. Przeważa tu różowawa czerwień, podczas gdy na drugim witrażu przedstawiającym św. Salomeę na tle ogromnych stylizowanych ostróżek, góruje ciemny błękit.

Lecz cóż, na miły Bóg, znaczyć ma ta „ładna“ postać świętej? Skąd się wzięła ta jarmarczna koncepja w pośród snów tak cudnie ucieleśnionych wielkiego malarza-poety? Ojcowie Franciszkanie mając widocznie swoje klasztorne zapatrywania na sztukę wogólności a na tuszę świętych pańskich w szczególności, osądzili poprostu, że „Salomea“ Wyspiańskiego, ta cudna postać, która z rękoma zwieszonemi w ekstazie w górę spogląda, podczas gdy jej korona królewska do stóp się potoczyła (karton do tej figury znajduje się obecnie w posiadaniu p. Pareńskiej), świadczyłaby zbyt niekorzystnie o odżywianiu się mieszkańców niebios — i zastąpili ją tuzinkowym fabrykatem, który wraz z owymi bohomazami w presbyterjum ponad stallami zawieszonymi w zachwyt wprawiać musi pobożne dziewice z kongregacji św. Zyty.

Ze ściśniętem sercem podążam na Wawel. Czytałem przecież świetne „Nowe klejnoty“ p. Puszeta (oj, jak to tam będzie ewentualnie z docenturą!) i jestem jeszcze pod świeżem wrażeniem wystąpienia z komitetu restauracyjnego najkonserwatywniejszego z konserwatorów p. Tomkowicza. Po drodze już na ścianie domu Długosza, u wylotu ulicy Kanonnej, nie poznaję zupełnie starego obrazu Matki Boskiej — naturalnie przemalowano go gruntownie, odlakierowano i odzłocono, zabezpieczono szybą nawet (mój Boże, te ciągłe rozruchy lwowskie i ten Niemojewski ze swemi „Legendami“) — i jeden więcej zabytek przeszłości zaprzepaszczono bezpowrotnie. Szczęście jeszcze prawdziwe, że pozostawiono otwory kulami szwedzkiemi powybijane i że w ogóle pozostawiono obraz, zamiast w jego miejsce wymalować np. piękną reklamę dla fabryki „kotwicznych domków budowlanych“, których styl z takiem powodzeniem reprezentuje opodal stojące nowe seminarjum duchowne.

U wejścia do katedry uderza mnie już niemile brak kości przedpotopowych zwierząt a jak lud twierdził dawnych wielkoludów, które tak charakterystycznie zdobiły od wieków portal i z któremi każde oko polskie od dzieciństwa tak się było zżyło — widocznie znaleziono dla nich praktyczniejsze zastosowanie... we fabryce sztucznych nawozów zapewne. Ale wchodzę do wnętrza — — „Smutek, ból, groza. Prawdziwa szkoła wzorowego niszczenia zabytków historycznych“, jak pisze p. Jasieński. Zgnębiony tem wszystkiem co widzę (dość już inni o tem pisali) i tem, czego domyślam się po za belkami kryjącemi dyskretnie część ambitu od strony skarbca (cud że polichromję jego oddano p. Mehoferowi!), belkami, poprzez których szpary dostrzegam jednak gruntownie odskrobany sarkofag Łokietka — chronię się do kaplicy ś. Katarzyny i z rozpaczy bezmyślnie zaczynam skrobać sobie po świeżem kanarkowem złoceniu ołtarza. I oto, czego nie doskrobuję się pod pozłotą! Całych warstw, pokładów poprostu — stearyny i wosku pozostawionych tam przez p. Odrzywolskiego, który po feljetonach p. Puszeta ze swej poprzedniej nienawiści do wszelkiej „patyny“ teraz znów widocznie popadł w drugą ostateczność. Nie ma co mówić, postęp istnieje. Wiek XV. dawał pod złocenie tło ciemno-purpurowe, wiek XVI i XVII. ceglaste — wiek XX daje stearynę. Drobny szczególik, ale wymowny...

Lecz oto nagle od ołtarza się odwróciwszy, doznaję raptem wrażenia, że jestem w jakimś monachijskim „*Brüuhausie*“ taką uczciwą, niemiecko-piwiarnianą atmosferą owiewa mnie ten witraż św. Katarzyny, szczyt tuzinkowej, fabrycznej, banalności niemieckiej. „Poprawne“ to, mdłe, skończona miernota. (Och, ta główka aniołka, do której doczepiono zmyślnie skrzydła wzięte żywcem z pruskiego orła państwowego!...) Nie, doprawdy tego już zanadto. Tu Września, tu na miejscu tacy artyści, jak Wyspiański i Mehofer, autor witraży zdobiących katedrę fryburską — a tu na Wawelu, za pieniądze całego polskiege społeczeństwa sprowadza się fabrykaty nic wspólnego ze sztuką nie mające — a do tego niemieckie. A wkrótce przyjedzie reszta z Innsbrucku zamó-

wionych witraży. Ciekawym, coby tak powiedział Matejko, gdyby ożył, albo Pryliński, któryby teraz chyba, wyzbywszy się już względności koleżeńskiej, niejedno dał ciekawe objaśnienie o właściwem pochodzeniu materjałów do „Renesansu w Polsce“ tej pomnikowej (?) publikacji prof. Odrzywolskiego. Wobec wielkiego obecnie w Polsce zapotrzebowania witraży choćby do kościołów w Warszawie, Żyrardowie, Płocku i t. d., można było chyba założyć w kraju osobny zakład, bodaj tymczasowy. A nieprawdą jest, żebyśmy nie mieli u siebie znających się na rzeczy artystów, techników i rzemieślników. Można było do niedawna cofnąć się jeszcze, jak to uczyniło duchowieństwo płockie, które pod naciskiem artystów i miłośników sztuki, zerwało układ z fabryką niemiecką i straciwszy zadatek zażądało projektów do witraży od artystów polskich. Ale, ale... Witraż św. Katarzyny nosił podobnoś pierwotnie wielkiemi literami u dołu wypisaną firmę fabryczną: „*Mayer*“. Tego już było zanadto samemu p. Odrzywolskiemu, który też jak wieść niesie — napis ten własnoręcznie wytłukł.

Szkoda, że tylko napis...

Adam Cybulski.



STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Jakoż z za ściany zieleni wynurzył się *prystaw* i *sledowaciel*, o których przyjeździe Jedniewiczowa uwiadomiła męża.

Zobaczywszy ich pop zerwał się szybko, z oznakami radości, witał i prowadził gości do domu, wołając na żonę, by czemprędzej zastawiała przekąskę.

Przy śniadaniu, wszyscy trzej rozmawiali długo między sobą. Co mówili jednak, nikt tego nie wiedział. Popadja wchodziła nieraz z przekąską, z wódką, z samowarem; wchodziła znienacka albo też skradała się po cichu, przykładała nawet do drzwi ucho — daremnie. Słyszała tylko śmiechy, uściski, wykrzykniki, ale ani jednego słówka, coby ją naprowadziło na ślad tego, co ją zaciekawiało.

Potem żandarmi i prystaw wyjechali, wyprowadzeni na ganek przez popa. Jedniewiczowa była pewna, że pojadą wprost do dworu i patrzała pilnie, czy konie zawrócą w lipową aleję. Tymczasem wbrew jej oczekiwaniom, skręciły na szeroki gościniec, wiodący ku Rzeczycy. Nie wierzyła swoim oczom i słuchała długo, dopóki mogła łowić uchem dźwięk oddalającego się dzwonka, i turkot pocztowej bryki.

Berwicz jeden z pierwszych w Malińcach dosłyszał dzwonek, dopatrzył żandarmów i policję. Właśnie konno objeżdżał pola. Spodziewał się codzień niepożądanych gości, przecież struchlał, bo co innego spodziewać się, co innego gdy rzecz się stanie. Szło przecież o panią Teresę.

Przeklinał w duchu chwilę swego wyjazdu z Maliniec i przebiegłość kobiety, która niczem nie zdradziła przed nim swoich zamiarów.

— Ot co narobiła! — mruczał sam do siebie.

Ale jednocześnie serce wzbierało mu taką tkliwością, iż rozsadzało mu piersi.

Nadchodziło południe, Berwicz skrócił swój objazd i zawrócił na dziedziniec folwarczny. U wrót spotkał starego Maksyma. Spojrzeli na siebie i zrozumieli się odrazu. Nie darmo służyli razem pod Brzeszczem. W oczach ich palił się jednaki niepokój i jednakie pytanie co czynić?

Pierwszą rzeczą, było powzięcie języka o zamiarach nieprzyjaciela bez zwrócenia jego uwagi.

Bo zrozumiał to dobrze Maksym i w mgnieniu oka wymyślił fortel wojenny. Za centrum działań nieprzyjaciela służyła naturalnie karczma a naprzeciw karczmy była kuźnia i stało się jakoś, że kasztanek z fornalki Michałka zakulał nagle, musiał być zagwożdżony i trzeba go było przekuć, Maksym zaprowadził go sam do kowala. Może też on najlepiej był świadomy jakim sposobem krzyż się wyprostował, bo to był najstarszy i najzaufańszy ze służby.

Berwicz zmyślił jakiś interes do Pani Teresy. Siedziała z córkami na wejściowym ganku przed domem i haftowała ornat, którego potrzebował bardzo ubogi kościół parafialny, oddalony od Maliniec o wiorst trzydzieści. Marynia pomagała jej w tej robocie a Jadwinia szyła sukienkę dla swojej chrześniaczki, wnuczki starego Maksyma.

Berwicz zawahał się chwilę, czy miał zamieszać jej spokój. Ale pomyślał: „Lepiej żeby wiedziała naprzód“, zbliżył się więc do niej, nie rad że zastał ją z dziećmi i rozmyślał, jak zrobić, żeby ostrzedz ją a nie przestraszyć.

Pani Teresa przyszła mu w pomoc, podniosła na niego spokojne oczy i rzekła:

— Cóż to? mamy we wsi jakieś śledztwo.

Ręka w której trzymała igłę nawleczoną jedwabiem nie drżała, twarz nie miała bladości ani wypieków niepokoju.

— Pani już wie! — zawołał.

— Słyszałam dzwonek, a potem trzeba się było tego spodziewać.

Uśmiechnęła się do niego jakimś promiennym, nieujętym uśmiechem, który widział na jej ustach nieraz w chwilach stanowczych. Marynia była blada, miała brwi ściągnięte, oczy Jadzi miotały błyskawice.

Berwicz patrzał na matkę i córki jakby oczarowany. Krwawe blaski migały w jego źrenicach. Niechby kto śmiał je dotknąć. Ta myśl wypisała się w nich tak wyraźnie, że pani Teresa wstrząsnęła głową i rzekła łagodnie.

— Bądźże spokojny Berwisiu.

Stary nic nie odrzekł, zawrócił się i wyszedł gnany niepokojem nad siły. Zatrzymał się jednakże jak zwykle na dziedzińcu folwarcznym i czynił przegląd gospodarczy, ażeby czemkolwiek zapełnić chwile, które wydawały mu się długie niemiłosiernie i pokazać, że go śledztwo i prystaw żandarmi wcale nie obchodzą. Chciał też doczekać powrotu Maksyma. Orłowski uwijał się, wydawał obroki, krzyczał na parobków, teroryzowany przez zwierzchnika, bo widział, że ten jest zły piekielnie.

Za każdym zbliżającym się krokiem w Berwiczu serce zamierało, nikogo przecież o nic nie zapytał ażeby nie zwracać uwagi.

Wreszcie ukazał się Maksym prowadząc kulejącego kasztanka.

— Bestja kowal zagwoździł go dziś rano — mówił zafrasowany.

Pokazał Berwiczowi chorą nogę zwierzęcia a po cichu szepnął:

— Ludzie wszyscy powiedzieli, że nijakiej zmiany w krzyżu nie widzą. Ot ino się tylko coś komuś przywidziało.

Maksym odprowadził kasztanka do stajni i spotrzegł, że się coś w grabiarce zepsuło. Trzeba ją było zaraz zawieść do kowala, bo popołudniu wypadało zgrabiać siano. Naprawiano ją bardzo długo. Już się kończył południowy odpoczynek, gdy Maksym pokazawszy Berwiczowi wyprostowane zęby grabiarki szedł za nim do kancelarji, jak to czynił codziennie.

— I cóż? Cóż? — pytał Berwicz przyciszonym głosem.

— Rozgradzali krzyż panie, przyglądali się kamieniom i ziemi czy nie ruszona.

— I cóż?...

— Djabła nie ruszona... Poszli do popa.

Berwicz zatargał wąsa. Otóż to. Trzeba mu było rozmówić się z Jedniewiczem, wsunąć łapówkę. Chciał on tego wyraźnie. Ale cóż, on znieść nie mógł tego renegata i opuścił sposobność. Zawsze był taki prędki jak za młodu i zrobił kapitalne głupstwo. Nigdy nie mógł zdobyć się na tę świeczkę dla djabła, którą na przedpieklu palić mu trzeba.

Spojrzał na Maksyma oczami, w których wymalowało się przerażenie.

Maksym stał przy drzwiach spokojny wyprostowany jak żołnierz przed bitwą, z twarzą nieruchomą, jakby ta cała sprawa była mu obcą zupełnie.

— I jakżeż będzie — szepnął Berwicz rzucając to pytanie samemu sobie więcej, niż Maksymowi.

— Ha cóż! będzie co Bóg da — odparł stary.

Na wolę Boską, Berwicz spuszczał się z pokorą, ale nie wówczas gdy szło o panią Teresę.

Gdyby ją miało spotkać nieszczęście, onby nie zniósł, nie, nie, tegoby nie zniósł.

Maksym znał go na wylot, czytał jego myśli zrozumiał jego niepokój i wyrzekł znowu przyciszonym głosem.

— Pani ta może być spokojna. Cóż, choćby kto krzyż i ruszył, to przecie nie ona.

Widocznie, gdyby nawet na ślad trafiono, Maksym gotów był wziąć wszystko na siebie.

Zrorumieli się. Jednakże Berwicz siedział jak na mękach. Niby coś pisał, coś rachował, jednak od dziedzińca folwarcznego oka nie spuszczał.

Wreszcie koło okna spostrzegł przechodzącego Maksyma. Pomarszczona twarz jego była nieruchoma, tylko w oczach były błyski radości czy tryumfu.

Berwicz zastukał przez szybę by go przywołać, jak zwykle gdy miał mu dać jaki rozkaz.

Maksym wpadł do pokoju.

— Pojechali precz, pojechali skąd przybyli. Czart z nimi — wyrzekł tylko.

Ale te słowa także powiedział półgłosem, chociaż byli we dwóch tylko w mieszkaniu Berwicza. Może lękał się ścian, które miewają uszy, może działo się to za sprawą przywyknienia. Ludzie w tym kraju zawsze głos zniżali, mówiąc o tem, co ich obchodziło najwięcej.

(C. d. n.)



2)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

ROZDZIAŁ I.

„O METODZIE“.

Prof. niemiecki Riehl w dziele swojem „Kraj i lud“ (Land und Leute) powiada: „Przyroda kraju, jego geograficzna odrębność, określa treść życia wytwórczego w pierwszej linji; winnice, łąki uprawa roli, lub leśnictwo, wywierają silny wpływ na kształt domu“.

Powyższe zdanie jest w zasadzie słuszne; materjalne tło, klimat, kształt i właściwość gruntu pod nogami, nawodnienie, bliskość morza, słowem całe otoczenie wraz z najbliższem sąsiedztwem, określają społem wszelkie plemienne a z biegiem czasu i narodowe odrębności.

Prace Buckle'a, Spencera, Darwina, Morgana i Marxa, stwierdziły w całej rozciągłości prawdziwość powyższej tezy.

Różne często w najwyższem filozoficznem ujęciu nagromadzonych faktów, zbiegają się one w uczynieniu ludzkości zjawiskiem przyrodniczem, której pochodowe drogi rozwoju wyśledzić można jedynie, badając całokształt warunków wszelkiego życia na ziemi.

Przyroda zewnętrzna określa życie wytwórcze człowieka. Życie wytwórcze znowu wypełnia się całością codziennych szczegółów, które powtarzając się długo, doba po dobie, wpływają na formę życia płciowego i rodzinnego, wrzynają się w świat wyobraźni, wierzeń i przesądów, odciskają się, jak pieczęć w miękkim wosku, w słowach i wyrażeniach, i wloką się w ślad za nimi często tysiące lat jeszcze wtedy, kiedy sama forma życia, która niegdyś słowu dźwięk i barwę nadała, zaniknęła dawno do szczętu.

Weźmy mieszkańca bezleśnego stepu azjatyckiego, jakim jest Kirgiz.

„Step nie zna przeszkód i nie rozgranicza obszarów na części wyraźne. Przestrzeń, wolna we wszystkich kierunkach, zapewnia człowiekowi olbrzymią swobodę ruchów, z której on korzysta sowicie. — Wiatr roznosi człowieka w stepie jak drobny piasek morski — mówi Kirgiz, a my dodajmy jego łączność społeczną.

Kirgiz koczuje na przestrzeni od dolnej Wołgi aż do Uralu, a nawet do granic Tybetu.

W stepie Bukiejowskim, np. rody nogajskie i kirgizkie, koczując obok siebie, zwolna utoż-

samiają się antropologicznie i kulturalnie.

Najniższą grupę społeczną stanowi namiot, 3 do 15 namiotów stanowi khoton (grecki chiton tkanina, polskie katanka i szata, szatro, buda cygańska, sanskryckie kthuna kszuna), obóz złożony z dziada, synów i wnuków; kilka obozów tworzy ajmak, kilka ajmaków, anghi, odpowiadający rzymskiemu gentowi, a wyprowadzający się od wspólnego przodka; kilka anghów stanowią ułus, kilka ułusów hordę.

Zjednoczone hordy stanowią plemię, a kilka plemion używa niekiedy w stepie jednego języka.

Wielcy zaś wodzowie łączyli i w ciągu dalszym ujednostajnili kilka języków.

Koń zowie się u Kirgizów po prostu mal (t. j. bydlę) a wszelkie inne zwierzę zostaje oznaczone przez dodanie stosownego przydomka do tego wyrazu. Koczownik rodzi się prawie i umiera na koniu.

Koń też stanowi w stepie przedmiot czci istotnej, kto chce pochwalić jeźdzca, chwali konia, obraża go, lekceważąc rumaka, co więcej, uderzenie konia jest obelgą dla pana. Koń bierze udział we wszystkich uroczystościach, jest ideałem piękności.

Nawet zaloty do narzeczonej nie obejdą się bez odpowiedniej przenośni:

Oj ty panno młoda, młodziuchna,
O ty, czarnej kobyły źrebiątko!

Kiedy umiera bogaty Kirgiz, rumakowi jego obcinają grzywy i ogon, koń zostaje w stanie „wdowim“ i nikt go nie dosiada. Głównym pokarmem koczowników azjatyckich jest mleko, zwłaszcza końskie, spożywane zwykle, gdy nieco skwaśnieje i sfermentuje. Z mięsa jedne plemiona cenią przedewszystkiem koninę, inne baraninę.

Miarą znaczenia i bogactwa jest również bydlę. Ceremonjał przyjęć każe rozpoczynać rozmowę od pytań, jak się hodują barany (u mongołów), lub konie u Kirgizów, czy tłuste są ogony pierwszych*).

Nie wierzą, a raczej nie pojmują, jeśli bogaty cudzoziemiec powie, że nie posiada trzody, kiedy zaś uwierzą, uważają go za chłystka. Trzody są źródłem wszystkiego.

Namiot wyrabia się ze skóry, tkaniny wełnianej lub pilśni, pośrodku wisi kociołek, na belkach uzdy i siodła, dokoła ogniska na ziemi leżą skóry i pilśniowe wojłoki. Skóry i tkaniny pilśniowe obracane są na odzież, pomiot na opał... Drzewa nie lubi, dla pojedyńczych drzew w stepie czuje pewien szacunek, nigdy ich nie zrąbie, lecz obwiesza ofiarami. (Krzywicki, Ludy str. 155, 156 i 157).

Umyślnie przytoczyłem zwięzły opis życia stepowca, aby pokazać, że i twórczość cała zdobnicza, musi się trzymać tego żywiołu życiowego, na którym cała społeczność wzrasta.

Wełna, nić, tkanina, wyszywanie na tkaninie, wzorzysta plecionka ze skóry lub trawy suszonej (mata), oto są najpierwsze materjalne żywioły sztuki stepowca. Kombinacje w przeplataniu i w wyszywaniu dają tę różnorodność linijnych motywów, które odnajdziemy na rozmaitych częściach ziemi, w Azji, Europie, Afryce i Ameryce słowem wszędzie, gdzie step, pastwiska i trzymanie bydła owiec i koni, określało życie gospodarcze, ludzkie i tkaninami i wyszywkami wypełnione mieszkanie. Pokrewność form zdobniczych i kształtów mieszkania i sprzętów, znacznie jest powszechniejszą od pokrewności brzmień.

Powinowactwo brzmień zawisłe jest bowiem od układu krtani, formy wydechu i kształtu jamy ustnej, słowem od właściwości antropologicznych, dających już różnice w wymawianiu wśród plemion prawie w jednakowych warunkach mieszkających, byle antropologicznie odmiennych, jak to się dzieje n. p. w Tyrolu, gdzie „bruneci krótkogłowcy wymawiają krótko „ttal“, a blondyni długogłowcy gardłowo thal“. (Krzywicki: „Ludy“).

Natomiast jednostajniejszy układ oka, forma soczewki, kształt i światłowrażliwość nerwów siatkówki, jest przyczyną nieporównanie większego ujednostajnienia wzorców obrazowych.

*) Rozmowy podobne miljony razy w kółko powtarzane, niemało przyczyniają się do przenoszenia brzmień tych samych na coraz to inne, byle w pewnej mierze obrazowo pokrewne pojęcia.

Poezja nasza używająca porownań obrazowych, miała miljony skromnych poprzedników, którzy poprzenosili nazwy często bardzo daleko od właściwego materjalnego źródła. Wyśledzimy nieraz, jak główne słowo w ciągłem nieustannem użyciu zetrze się tak, jak długo w obiegu będąca moneta, zamaże na sobie barwę i znak stemplowy do niepoznaki, natomiast pochodny i brzmieniowo pokrewny wyraz, ale mniej dzięki temu używany, zachowa na sobie w czystości pierwotny znak i odrazu ukaże wspólne źrodlisko. *(Przyp. autora).*

Działanie otaczającej przyrody na nerwy wzrokowe, więcej tedy jednakim obrazem odbija się w fantazji i jednako tężeje jako forma w dziele sztuki.

Na tem polega właściwość, że pełne dotykalnej obrazowej mowy, bojowe strofy i pienia miłosne ludów z pod rozmaitych nieb i mgieł, jednakowo jasno i świeżo działają na wyobraźnię, jeśli tylko słuchowe-słowne trudności, dzięki dobremu tłumaczeniu usunięte zostaną.

To współdziałanie wzroku, jako ujednostajniającego żywiołu, przyczynia się tembardziej do powtarzania się podobnych zjawisk i form życiowych i gospodarczych przy jednakowo sprzyjających okolicznościach *).

Dr. Ludwik Büchner charakteryzując liczne i niezmiernie ciekawe rysunki w ornamentach jaskiniowego człowieka, potwierdza to w następujący sposób: „Mimowoli przypominają te przedhistoryczne dzieła sztuki, dobrowolne i często nie bardzo na rękę będące początki próbnych rysunków u naszych dzieci, alboteż rysunki na skórach i kościach bydlęcych u ludów pierwotnych.

Zdolność prędkiego rysowania charakterystycznych rysunków, jest wśród ludów pierwotnych bardziej rozgałęzioną, niż się zazwyczaj sądzi. Australijczycy, Buszmeni, Eskimosi i afrykańscy murzyni są to zwyczajnie nietylko dobrzy rysownicy, ale też zręczni snycerze, podobni naszym snycerzom w romantycznych górach Alp berneńskich.

*) Do zauważeń powyższych nawiązać należy również tajemnice powstawania pisma obrazowego, a potem znakowego, które obok przelotnie używanego porozumiewania się na migi, trwale i zawsze służyło jako pośrednictwo tam, gdzie mowa słów nie wystarczała.

Przyglądając się mimicznej rozmowie głuchoniemych, zobaczymy w całej czystości potęgę wyobraźni ludzkiej, umiejącej dopatrzeć daleko wspólnotę ruchów, położenia, płaszczyzny i przestrzeni w otaczającym świecie.

I tak, jak za czasów ludów owych, ren wśród przedstawianego świata zwierzęcego, był głównym tematem, tak też i Szwajcar kozicę w najrozmaitszych sytuacjach przedstawia (Europas vorgeschichtliche Kultur. Hellwald Kul. Geschichte. Tom I. str. 194).

Uwaga powyższa wyjaśnia, dlaczego na rozmaitych miejscach ziemi powstawał niezależnie i samodzielnie kunszt garncarski, z oblepiania gliną koszów, jak to angielskie wykopaliska wskazują, lub tykw, czego świadectwem są przedhistoryczne naczynia Cypru. (Ohnefalsch Richter. Zeit. für Ethnologie 1891. 23 tom. str. 35).

Mieszkania palowe powstawały w najrozmaitszych częściach świata, w Afryce, w Ameryce, u Dajaków na wyspie Borneo i w kilku po sobie następujących uwarstwowieniach kulturalnych, również zupełnie samorodnie.

Typ okrągły namiotu, lub plecionki koszowej z dymnikiem u góry, także jest własnością ludów najrozmaitszych czasów i krajów, jeśli tylko zewnętrzne stosunki i stopień cywilizacji były po temu.

Związana też z przyrodą wewnętrzną gromad ludzkich i całego stosunku człowieka do przyrody, jest rodowa forma organizacji rodziny i własności, wspólna w pewnym okresie wszystkim ludom. (I. Morgan i Fr. Engels „Pierwotna rodzina“).

Z formą i warunkami wytwórczości ludzkiej, zespoloną jest zdobniczość, sztuka. Tworzywo, w jakiem powstaje pierwsze zdobnictwo, przyrodniczemi swemi własnościami, określa doskonale zasadniczy wątek form. Kult zaś, jako pozornie najwięcej oderwane od materjalnego tła zjawisko, jest także niczem innem, jak względnie najwyższem i najczystszem każdorazowem uogólnieniem stosunków życiowych człowieka z otaczającym światem.

Kazimierz Moklowski.

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Poezje.* Edward Leszczyński. Kraków. Gebethner i Spółka. 1901. Str. 100.

Miło się czyta poezje p. Leszczyńskiego, co przedewszystkiem sprawiają: muzyczność wiersza i język czysty, nieskażony. Ale trwalszego wrażenia nie wywołują. W każdym razie w powodzi „liryków“ przeróżnych, książka p. Leszczyńskiego jest dodatniem zjawiskiem i nie powinna odrazu utonąć w niepamięci. Jaką talent

autora zakreśli drogę w przyszłości, nie da się wywnioskować z tych preludji zmierzchowych. Dotąd można powiedzieć tylko: ładnie gra, i nic więcej. *W. O.*

*

Rapsody. Józef St. Wierzbicki. Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. 1901. Str. 80.

Trudno o „Rapsodach“ coś wyraźnego powiedzieć; chyba to, że wyszły w książce i że je napisał utalentowany człowiek. Są utwory, i nieraz wybitnych pisarzów, które się jakoś nieuwypuklają, nijakie w treści i we formie. Nie można o nich mówić źle, ani pochlebnie. Wrażenie czynią jakieś zwiewne, ani dodatnie, ani też ujemne, a przecie nie można go nazwać niemiłem. Do takich utworów należą „Rapsody“. Formą przypominają ballady minione naszych pomniejszych romantyków. *W. O.*

*

Charakterystyki literackie: Żeromski, Przybyszewski, Wyspiański. Lwów, nakł. Altenberga 1902. W wydawnictwie „Wiedza i życie“ wyszły trzy biografje wymienionych w tytule pisarzy, które otrzymały pierwsze nagrody na konkursie literackim, urządzonym przez lwowski „Związek naukowo-literacki“, ku uczczeniu dwudziestopięciolecia pracy pisarskiej Henryka Sienkiewicza.

W pierwszej charakterystyce autor jej, p. Gałecki, na początku zaraz rozprawia się z wadami Żeromskiego, jako artysty, i dobrze robi, że daje to na początku. Zarzuca mu więc brak artyzmu w budowie, zawiłość, epizodyczność, brak uplanowania sytuacji i figur, luźność wśród tych ostatnich etc. etc. Ale z chwilą, gdy się z pęt estetyki wyzwala i przechodzi do treści utworów, pokazuje się zaraz, że zarzutów tych nie można brać na serjo. Żeromski jest, wedle niego, pisarzem oryginalnym, głębokim, nie buduje powieści na wzór dawnych tendencyjnych pisarzy, którzy to z jednej strony stawiali ucieleśnioną ideę społeczną, a z drugiej zbiorowisko skarykaturowanych jej wrogów, lecz, jako artysta w każdym calu, zajmuje się psychologją swoich figur i z niej wysnuwa swoją myśl i obrazy. Prosta niekonsekwencja krytyczna, pochodząca stąd, że p. Gałecki, chcąc być na gwałt estetą, pokłócił się z samym sobą tam, gdzie, jako rzeczywisty znawca, przystąpił wprost do treści dwóch głównie dzieł Żeromskiego: „Promienia“ i „Ludzi bezdomnych“. Zapomniał, że pisarz, mający także zalety treści, jak te, które mu przyznaje p. Gałecki, nie mógł się zmieścić w formy, w które pragnął go byłby wepchnąć zimny „esteta“. To też druga połowa charakterystyki, gdzie autor jej idzie za treścią Żeromskiego, zaprzecza mu, lub go potwierdza, zaciera wrażenie banalności, jakie sprawia pierwsza i ukazuje nam we właściwem świetle zarówno krytykowanego autora, jak i samego krytyka.

Szerokiem malowidłem tła, na którem rozwinęła się twórczość współczesnych pisarzy polskich, charakterystyką prądów, wyrosłych na naturaliźmie, rozpoczyna się opowiadanie p. Bytkowskiego o Przybyszewskim. Charakterystyka ta, to jakby zajmująca nowela psychologiczna, której bohaterem jest pisarz, co po studjach architektury, medycyny, po awanturniczych przejściach życiowych, uciekł do sztuki. Z początku, na wzór współczesnych, zajmował się naturalistyczną analizą psychologiczną, ale zwolna liryzm w nim przeważył i zamknął się w kole własnych uczuć, które przy wrodzonej skłonności do syntezy, ograniczył jeszcze do samego pierwiastka uczuć płciowych i mistycznie je uogólnił. Dzieła Przybyszewskiego, to słupy kilometrowe na drodze, opisanej przez p. Bytkowskiego i oświetlanej ostrożnie promieniami własnych zapatrywań na obszar, ważność, siłę, chorobliwość i piękno artystyczne. Konkluzją p. Bytkowskiego jest to, że Przybyszewski jest „progonem“, czyli pisarzem epoki przejściowej, wyrazem wahań, za którym w ślad idzie nowa epoka.

Trzecia charakterystyka, poświęcona utworom Wyspiańskiego, to dokument erudycji, bystrego orjentowania się w szczegółach, sumiennego badania przedmiotu pod takimi względami, jak prawda psychologiczna, artystyczne wrażenie, postulaty uczucia, rozumu, styl, język i t. p. Streścić się to nie da bez wyliczenia tytułów dzieł, imion osób, sytuacji, scen i literackich odsyłaczy to w tę, to w ową stronę życia. Wszystko jest przyczepione do tego, wszystko informuje i objaśnia szczegóły, ale tak obficie, jak to tylko może u nas zrobić człowiek tak wielkiej wiedzy i rutyny, jak Piotr Chmielowski. *S. W.*

*

Wojna chłopska w Niemczech. Fryderyk Engels. Wydawnictwo „Towarzystwa Zachęty nauk społecznych“. Londyn 1902. Str. 101.

Engels, we wzmiankowanej książce, dał krótki zarys wielkiego ruchu chłopskiego w wieku XVI. w Niemczech. Chodziło mu nie tyle o stronę faktyczną, o wyświetlenie wszystkich sprężyn tego potężnego prądu, ile raczej o objaśnienie go przez ówczesne stosunki klasowe w Niemczech, zależne od czynników ekonomicznych.

Engels charakteryzuje w następujący sposób stronnictwa polityczne w Niemczech, podczas reformacji:

> „W pierwszym z trzech wielkich obozów, w obozie konserwatywno-katolickim, znalazły się wszystkie żywioły, których interesy wymagały istniejącego stanu rzeczy, a zatem: cesarz, książęta duchowni i część świeckich, bogatsza szlachta, prałaci i patrycjat miejski, pod sztandarem mieszczańsko umiarkowanej reformy luterańskiej, gromadzą się przodujące żywioły opozycji, niższa szlachta, mieszczaństwo, a nawet część książąt świeckich, która miała nadzieję zbogacenia się przez konfiskatę majątków kościelnych i chciała skorzystać ze sposobności wywalczenia większej niezależności od państwa. Chłopi wreszcie i plebejusze połączyli się w partję rewolucyjną, której żądania i doktryny najmocniej formułował Münzer“.

Niemcy ówczesne nie były zcentralizowanem państwem. Tylko poszczególne prowincje doszły do centralizacji. Powstanie chłopskie z 1525 roku upadło skutkiem partykularyzmu włościan, jak również rozbieżności interesów opozycji, biorącej w niem udział. Stronnictwo Münzera było zwiastunem późniejszych dążeń proletarjatu. Żądając komunizmu, nie było ono w stanie, przy istniejących stosunkach ekonomicznych, nic dla niego zrobić. I gdy chwilowo znalazło się u władzy w Mülhuzie, stronnictwo nie było w stanie w praktyce wznieść się ponad

umiarkowaną reformę mieszczańską. Engels zaznacza tragizm ludzi i stronnictw, dochodzących do władzy, zanim warunki ekonomiczno-społeczne umożliwiają im reformy, postawione przez nich w programie.

Dziełko Engelsa napisane jest zbyt ogólnikowo. Dość wspomnieć, że autor nie rozpatrzył w niem poszczególnych grup włościan niemieckich, różniących się dość znacznie pod względem ekonomicznym i społeczno-prawnym. Napisane zostało jeszcze w 1850 roku. Autor zestawia w niem często wypadki 1525 roku, z akcją rewolucyjną w Niemczech w 1848 i 1849 r. *K.*

PISMA. *Pamiętnik literacki*, czasopismo kwartalne, poświęcone historji i krytyce literatury polskiej, a wydawane przez Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza, pod redakcją Wilhelma Bruchnalskiego, Bronisława Gubrynowicza i Edwarda Porębowicza, jęło wychodzić we Lwowie. Jest to do pewnego stopnia przeobrażenie dawnego „Pamiętnika“ Tow. im. Adama Mickiewicza, które od badań nad samym Mickiewiczem rozszerzyło swój zakres do badań nad całą literaturą polską. Do stałych współpracowników „Pamiętnika“, oprócz wyżej wymienionych redaktorów, należą jeszcze: Al. Brückner, Ign. Chrzanowski, K. M. Górski, Józ. Kalenbach, Stan. Ptaszycki i Stan. Windakiewicz, a jak widać już z tego spisu nazwisk, zajmować się będzie „Pamiętnik“ przedewszystkiem krytyką historyczno-literacką, badającą naukowo dzieła i prace literackie aż do progu doby współczesnej.

Pierwszy zeszyt pierwszego rocznika, poświęcony Antoniemu Małeckiemu w ośmdziesiątą rocznicę urodzin, zawiera kilka większych prac. Do historji literatury należą: Stan. Windakiewicza studjum p. t. „Erotyk Kochanowskiego“; Ign. Chrzanowskiego: „O satyrach Naruszewicza“; K. M. Górskiego: „Karpiński w Wiedniu od 1770 do 1771“ i Józ. Kalenbacha: „Nieznane utwory francuskie Zygmunta Krasińskiego“. — Do prac natury teoretycznej należą: Piotra Chmielowskiego „Znaczniejsze teorje dramatu w literaturze polskiej“ i Edw. Porębowicza „Poezja polska nowego stulecia“ (I. Teorja). Potem następują drobniejsze notatki historyczne i dział nowo zdobytych materjałów do historji literatury polskiej. Kończy się zaś zeszyt sprawozdaniami i recenzjami, współcześnie wychodzących prac i publikacji, należących do dziedziny, obejmowanej przez pamiętnik.

Zanim wniknąć będzie można w treść zacytowanych powyżej prac, stwierdzić należy, że rzeczywiście udaje im się dać obraz współczesnych badań historyczno-krytycznych nad literaturą polską, z zastosowaniem wszystkich zdobyczy wiedzy współczesnej, które mogą przyczynić się do rozjaśnienia mroków, zalegających poszczególne partje tego obrazu.

SZTUKA. *Olejny obraz Grottgera*, mało znany szerszej publiczności, „Zjazd“, wystawiono w naszym salonie sztuki. Przedstawia on zjazd Sobieskiego z Leopoldem po odparciu Turków z pod Wiednia; po prawej stronie grupa Leopolda ze sztabem stoi na wzgórku, od lewej wjeżdża na ten wzgórek ze swoją świtą Sobieski i obydwaj monarchowie witają się. Jak z tego widać, obraz ten odbiega tematem od tego, co przyzwyczailiśmy się widzieć w Grottgerze, tym najpotężniejszym wyobrazicielu naszej ostatniej narodowej tragedji, a pochodzi to stąd, że obraz należy jeszcze do czasów przed wstrząśnieniem, jakiego doznał Grottger z powodu wybuchu i upadku powstania styczniowego.

Prof. Antoniewicz, którego staraniem obraz został sprowadzony, charakteryzuje go, jako pracę przejściową z epoki, kiedy Grottger przestawał być uczniem i obrazem tym złożył niejako egzamin z tego, czego nauczył się w akademji. Więc wzorem współczesnych mistrzów od Bacciarelego, Smuglewicza, Norblina do Matejki i Brandta, dla których takie tematy były jedynie godnymi wielkich malarzy, namalował swój „Zjazd“.

Przy całem uznaniu dla zasługi p. Antoniewicza w sprowadzeniu tego obrazu i pjetyzmu jego dla Grottgera, trudno jednak podzielać zachwyt jego dla tego obrazu, jako dzieła sztuki. Przedewszystkiem co do tematu to nie jest to rzeczywiście „moment dziejowy“, ile raczej manifestacja panujących na ten temat. Momentem historycznym byłaby np. chwila powzięcia przez Sobieskiego zamiaru wyruszenia pod Wiedeń, porażka Turków lub coś podobnego, a nie to, że po wszystkiem dwaj panujący dziękują sobie za osobistą przysługę. To, co w tym obrazie jest z psychologji tych dwóch ludzi, to także nie sięga poza pompatyczną dekorację chwili. Suggestją wreszcie jest u p. Antoniewicza także to, jakoby w tym obrazie przebijał się w technice i w kolorycie późniejszy malarz poeta. Nie ma tam ani w nastroju ogólnym, ani w rysunku, ani w kolorze, żadnego „liryzmu“. Jest to obraz malowany po akademicku, szary, w tonie ogólnym, jak powszechnie owoczesne obrazy, nie wolny nawet od błędów (np. koń pierwszoplanowy po lewej stronie, płaskie szematyczne fałdy sukien, twarze z banalnym wyrazem itp.). Jedynie w kompozycji ogólnej — lotnej i harmonijnej, oraz w ruchu niektórych figur poznać można, że to dzieło talentu.

To też jeżeli obraz ten ma wielką wartość, to jedynie dlatego, że pochodzi on od Grottgera i stanowi ważny cywilizacyjny i artystyczny dokument. Raz dlatego, że stwierdzić na nim można, co, i jak wówczas malowano, oraz, jak silnym był wpływ akademji, skoro nawet tak silne indywidualności artystyczne mu ulegały. Powtóre z tego powodu, że pouczyć się zeń można, jak często nawet najpotężniejszy talent w początkach, zanim otrzyma jakąś silną uczuciową podnietę, daje się zupełnie niemal pokryć wpływami zewnętrznymi i poza niektórymi objawami technicznej natury niczem prawie nie zaznacza swojej egzystencji. Czego po za tem dopatrzećby się można w „Zjeździe“, to już wynik zrozumiałej zresztą hypnozy uczuć, budzących się na sam dźwięk takiego imienia, jak: Artur Grottger. *S. W.*



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8